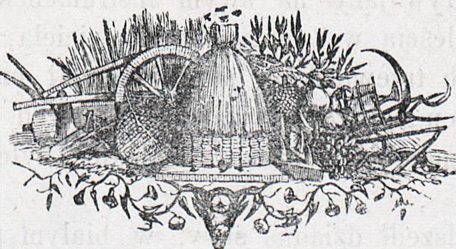
Tom XII. Nr. 15.

21. maja 1865.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Trzewiczki Jezusowe.

Nie ma miasta nad nasz Kraków! Tam to stare nasze pamiątki polskie, groby królów naszych — a czterdzieści kościołów głosi chwałę Bożą!

Między temi kościołami są niektóre bardzo stare, i tak naprzykład kościół Panny Maryi tak obszerny, że się w nim najmniej trzy tysiące ludzi zmieści, stoi już lat sześćset trzydzieści ośm, ale są jeszcze starsze i dawniejsze. Na przedmieściu Zwierzynieckiem jest kościół św. Salwatora, czyli po polsku Zbawiciela, wybudowany przez rycerza Piotra Dunina ze Skrzynna przed siedmiuset laty, w tym to kościele przed parą tygodniami był odpust, na który i ja będąc podówczas w Krakowie poszedłem.

Było to wczas z rana i zaledwie kilkoro ludzi znajdowało się w świątyni, a że nabożeństwo jeszcze się nie zaczęło, obchodziłem więc kościół w około, przypatrując się obrazom i nagrobkom.

Nagle jeden obraz zwrócił moją uwagę, bo też był dziwny i ciekawy. Na krzyżu Pan Jezus rozpięty, lecz nie jak zwykle

obnażony z szat, ale w pięknej sukience przybrany i w złocistych trzewiczkach obuty; pod krzyżem stał jakiś biedny skrzypek, wygrywający na swym instrumencie i wpatrujący się z wielką boleścią w twarzyczkę Zbawiciela, z którego nogi jeden ze złotych trzewiczków jakoby spadał na owego skrzypiciela. Obraz ten bardzo mię zastanowił i rad byłbym się dowiedzieć co to malowanie oznacza, ale nie było się kogo o to zapytać.

W tem nadszedł dziaduś siwy, w białym płaszczu z literami na nim, z niebieskiego sukna wyszytemi, co znaczyło, iż należał do dziadków, przez panny Norbertanki ze Zwierzyńca utrzymywanych.

— Nich będzie pochwalony Jezus Chrystus! — przemówił do mnie.

— Na wieki wieków, amen — odpowiedziałem, nie odwracając oczu od obrazu.

— A co się tak pilno w ten obraz wpatrujecie? — zagadnął dziadek.

— Oto mój dziadusiu przyglądam się dla tego, że radbym wiedzieć, co to znaczy ten skrzypek wygrywający i ów trzewiczek spadający z nóżki Pana Jezusa.

— Musicie być nie tutejszy — rzecze dziaduś — skoro tego obrazu nie znacie, — mówił dalej staruszek — boć go zna cały Kraków, chociaż nie jeden nie wie co znaczy to malowanie.

— Jestem z Choleszyna z pod Krakowa, ale dawno już tutaj nie byłem, a tego obrazu nigdy nie widziałem.

— Pójdźcież przed kościół — rzecze dziadek, — bo się nie godzi rozmawiać tutaj, nabożeństwo się rozpocznie dopiero za godzinę, więc mamy jeszcze dosyć czasu, toć ja wam to wszystko od początku do końca rozpowiem; boć to bardzo piękny cud Boży i warto abyście go innym opowiedzieli.

Wyszliśmy przed kościół, dziaduś usiadł na szerokim kamieniu, zapraszając mię abym i ja tak samo zrobił. Uczyniłem tedy zadosyć jego woli, a staruszek zażywszy tabaczki i poprawiwszy się wygodnie na siedzeniu tak opowiadanie swoje rozpoczął:

— Za moich czasów było to jeszcze pięćdziesiąt dziewięć kościołów w mieście, a nieboszczyk ojciec jeszcze więcej pamięta, bo trzeba wam wiedzieć, że przed paruset laty było ich siedmdziesiąt, a Kraków małym Rzymem nazywano. Już to temu lat siedmdziesiąt, kiedy rozebrane zostały kościoły następujące: św. Szczepana, św. Macieja, św. Maryi Magdaleny, św. Michała, św. Jerzego, św. Zofii, św. Jakóba, św. Sebastyana, św. Gertrudy, śś. Filipów i Jakóba, św. Walentego, św. Krzyża i św. Piotra Małego, a sprzedano, albo przerobiono na domy: św. Jana Bożego, Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, św. Scholastyki, św. Ducha, św. Jadwigi, św. Agnieszki, razem ich dziewiętnaście, które ja jeszcze pamiętam.

Ale ja o Pawle a wy o Gawle, ja wam rozpowiadam o kościołach, a wy radzi usłyszeć o skrzypku co go na obrazku widzicie, no to słuchajcież.

Kraków, jak wam mówię, był miastem daleko większem jak dziś. Mieszkał w nim król jak wiecie na zamku, więc też zjeżdżało się mnóstwo panów z dworami.

Za którego to króla było, tego wam nie powiem, bo sam nie wiem, a choćbym wiedział, tobym zapomniał, bo u mnie pamięć jak u kury, ale dość że to bardzo dawno, żył w Krakowie ubogi skrzypek, ten co go to właśnie na obrazku widzicie, no ma się rozumieć, że wówczas skrzypków w Krakowie jako innych muzykantów było bardzo wiele, a szlachta sypała grosz hojnie, aby jej przy zabawie pięknie przygrywali. Lecz jeżeli oni pięknie grali, to ten skrzypek co go na obrazku widzicie nad innych śliczniej wygrywał i najwięcej zarabiał. Dobrze to mówią, że na miejscu kamień obrasta, więc też i skrzypek miał się dobrze, a skoro mu mieszek urosł należycie, wynalazł sobie dziewuchę pracowitą i przystojną i ożenił się, bo to jak wiecie natura ciągnie wilka do lasu, a chłopca do dziewczyny.

Ale jeżeli ów skrzypek, co go na obrazku widzicie pięknie wygrywał na swoich skrzypeczkach, to też i nie gorzej gospodarzył w domu; boć rok jeszcze od ożenienia nie minął, a tu już dwie kołyski jedna wedle drugiej stoją, a dwoje bliźniaczków drze się na cały głos, aż w izbie głucho. Za temi przyszło znowu jedno, a potem jedno, a potem dwoje na raz

*

i znów jedno, dosyć, że w pięciu latach siedmioro dziatek napełniło izbę muzykanta, a wszystkie zdrowe i silne, taką mu wyprawiały na gardziołkach muzykę, że się musiał na pole wynosić ze skrzypkami i tam wygrywać nowo wymyślone kawałki, bo w izbie przed krzykami ani skrzypków nastroić, ani ich nawet usłyszeć nie mógł.

Jednakże skrzypek wcale sobie nie przykrzył, wiedział on, że bez pracy nie będzie kołaczy, więc też wstając i idąc spać dziękował Panu Bogu za jego błogosławieństwo; pracował też pilnie, a jeżeli o co mu chodziło, to tylko o to, aby niewiasta, albo które z dzieci nie zachorowało.

Otóż mój człeku, wiodło się dobrze muzykusowi, ale dopóty dzban wodę nosi póki się ucho nie urwie, a nie zawsze to bywa świętego Jana w niedzielę i nie zawsze ludziom się dobrze powodzi, a czasem bieda tak niespodzianie za kark cię uchwyci, że ani dychniesz.

Stało się więc że ów król, co wtedy siedział na krakowskim zamku, poszedł na wojnę z krzyżakami, ma się rozumieć, że za nim poszli wszyscy, a Kraków stanął pustkami tak, że nie było komu wygrywać nie tylko na skrzypeczkach, ale i na dudzie.

Skrzypek zaturbował się okrutnie odjazdem królewskim, lecz myślał, że się wojna wnet skończy, a zarobek będzie jeszcze lepszy, bo rycerstwo pobiwszy Krzyżaków, nie mało przywiezie zdobyczy i będzie jak śmieciami w koło miotać pieniędzmi, a nie jeden grosik srebrny w jego dziurawą czapkę wleci.

Chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi, wojna zamiast skończyć się w jednem lecie, trwała przez lat trzynaście, bo raz król wygrywał, a drugi raz Krzyżacy wygrywali; panowie zaś jakoś nieszczerze pomagali, nie chcieli dodawać pieniędzy; otóż wojowanie szło licho i wojna ciągnęła się bez końca.

Ale jeżeli na wojnie szło ladajako, to naszemu muzykusowi działo się jeszcze gorzej, biedak miał się jak groch przy drodze, często brakowało dla żony i dzieci kawałka chleba, a że głodnych i mucha powadzi, więc też poczęły się w domu sprzeczki i niepokoje. Żona wymyślała wciąż na biedaka; on jej co prawda perswadował i nieraz powiadał, że jeżeli cierpią

na tym świecie, to im Pan Bóg za te cierpienia sowicie w niebie wynagrodzi, ale kobiecina zwykła była mawiać z gniewem: Co mi tam z twoich obietnic, obiecanka cacanka, a głupiemu radość; lepsza kopa za żywota niż po śmierci sterta, dosyć że gadała co jej ślina do gęby przyniosła, a biedny mąż wynosił się za drzwi, ustępując niewieście, aby kłótniami nie pomnażać sporu i nie wywoływać wilka z lasu.

Próżno biedak szukał innych zarobków, nic mu się nie wiodło, nigdzie nie mógł grosza zarobić; oj dobrze to ludzie powiadają, że jednemu szydła golą, a drugiemu i brzytwy nie chcą, próżno prosił znajomych o pożyczenie pieniędzy do lepszych czasów, gdzie złe przypadki tam przyjaciel rzadki. Nikt mu nie chciał dać grosiczka, a każdy nagadał tyle, że aż nieborakowi uszy puchły od kazań i dogryzków.

Nareszcie jednego dnia zachorowało mu śmiertelnie dwoje dziatek z głodu i zimna, tak przyciśnięty ów skrzypek, którego na obrazku widzicie, zdesperowany do ostatniego, wziął skrzypeczki i szedł nie oglądając się ani za siebie, ani patrząc przed siebie. I tak szedł, szedł, aże zaszedł przed kościół św. Salwatora.

Opuszczeni ludzie są w opiece Boskiej, pomyślał spojrzawszy na kościół, pójdę i pomodlę się do Pana Jezusa, może się też nad moją biedą zlituje, i wszedł do kościoła, tego samego przed którym siedzimy.

Dobrze to mówią ludzie, że kiedy trwoga to do Boga. Więc też skrzypek ukląknął przed ołtarzem, w którym była figura Pana Jezusa ukrzyżowanego w sukienkach i szczerozłotych trzewiczkach, i z wielkim żalem i rozpaczą w sercu począł się modlić. Ale jak to mówią w biedzie i pacierz nie idzie, więc i on skrzypek, nieboraczek trapiony po dziesięć razy zaczynał modlitwę, a nie mógł jej skończyć, słowa mu więzły w gardle tak go strapienie ściskało; aż nareszcie nie wiedząc prawie sam co robi, wziął w rękę skrzypeczki, a stanąwszy pod samym krzyżem, wlepiwszy wzrok w Zbawiciela, począł grać tak smutno, tak żałośliwie, że aże serce pękało, i zdało się, że wszystkie struny płaczą różnemi głosami i rzewnie jęczą wzywając miłosierdzia Jezu-

sowego; a skrzypek grał i grał a łzy spadały mu jak groch po twarzy i zaledwie mógł utrzymać smyczek w ręku. A nie widział przed sobą ani kościoła, ani Pana Jezusa, jeno to wybladłą i znędzniałą żonę i dwoje śmiertelnie chorych dziatek i resztę biednych sierotek chwiejących się od głodu. I buchnął skrzypek głośnym płaczem na cały kościół, a skrzypki jeszcze żałośliwiej od niego płakały.

W tem nagle coś go w ramię trąciło, a potem z łoskotem upadło pod nogi; patrzy skrzypek, a to szczerozłoty trzewiczek leży na ziemi, a nóżka Zbawiciela bez trzewiczka na krzyżu.

— O Jezu! mój Jezu! toś się Ty nademną biednym zlitował, zawołał skrzypek, a padłszy na ziemię, krzyżem leżąc, gorąco płakał, a potem zerwał się z miejsca i podniósłszy trzewiczek wypadł jak szalony na ulicę. Tak to mój panie, Bóg tego nie puści kto się nań spuści, a kogo Pan Bóg stworzy to go nie umorzy.

Otóż gdy wybiegł z kościoła, tak pędził do miasta z trzewiczkiem za pazuchą, do bogatych kramów, bo trzeba wam wiedzieć, że przy Sukiennicach na Krakowskim rynku były bogate kramy, kędy siadywali złotnicy, sprzedawali klejnoty i różne kosztowności. Przypadł tedy i pokazuje złotnikowi trzewiczek Jezusowy, pytając go czy nie kupi.

Złotnik ów był niemiec, bo trzeba wam wiedzieć, że wtedy w Krakowie najwięcej rzemieślników było niemców, nie zrozumiał więc o co idzie, widział jeno ciężki szczerozłoty trzewiczek, dyamentami i perłami sadzony i domyślił się, że ów skrzypek ubożuchny chce sprzedać ten drogi klejnot. Z początku wachał się, widząc takiego chudzinę w posiadaniu trzewiczka, ale wnet obejrzawszy go pilnie pomyślał, bierz Michale co Bóg daje, i dał wielki wór srebrnych pieniędzy skrzypkowi. Ten ujrzawszy taką sumę omało nie omdlał z radości, rychło się przecież upamiętał, a nakupiwszy różnych żywności popędził do domu.

Co tam było radości, nikt tego opowiedzieć nie potrafi, tem bardziej, że i one dzieci prawie umierające jakby cudem ozdrowiały. Jedli, skakali, śmiali się, płakali, ściskali, dość

że tego na wołowej skórze trudno spisać, ile wesela Pan Jezus trzewiczkiem sprawił.

Wnet skrzypek kupił sobię porządne domostwo i kawał gruntu na Czarnej wsi, jął się ogrodnictwa, przyjął czeladź, a skrzypeczki swe za świętość uważał i zawiesiwszy je na gwoździu przysiągł, że odtąd na nich nikomu grać nie będzie, chyba tylko jednemu Panu Jezusowi.

Wybornie wiodło się skrzypkowi na gospodarstwie i opływał jak pączek w maśle; czego się jął wszystko mu się szczęściło, bo owe pieniądze przyniosły w dom błogosławieństwo Boże. Ale szczęściu nigdy nie dowierzaj, i nie mów hop aż przeskoczysz. Stare to przysłowie, że wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi i każdy dojrzy słomki w oku bliżniego, chociaż w swoim tramu nie widzi, jak powiada xiądz proboszcz. Wnet też poczęli się wszyscy dziwować, skąd skrzypek, nie dawno umierający dorwał tylu pieniędzy. Więc zaraz baby między sobą gadu gadu. Może znalazł, może ukradł, może kogo zabił i zrabował. A że słówko wyleci ptaszkiem a powraca wołem, więc też wnet gruchło po mieście, że skrzypek kogoś zabił, okradł i zrabował.

Oj wierzcie mi, że od języka bardziej boli aniżeli od miecza, zaś dobrze słychać daleko, a złe jeszcze dalej, więc też doniosło się i do sławetnego magistratu, który cichuteńko wysłał drabów, a ci porwawszy skrzypka i jego żonę, powlekli ich do piwnic ratuszowych i wtrącili do głębokiego lochu, okuwszy na ręce i nogi.

Biedny skrzypek nie wiedział za co go taka hańba spotkała, nie wiedział co się z jego niewiastą dzieje; nie czuł jednak wielkiej w sercu trwogi pamiętając, że Bóg nad każdym czuwa, a kto dobrze czyni śmierci się nie boi, zawsze przecież srodze się turbował o kobietę i dzieci; ale wnet męztwo wstąpiło do duszy nieboraka, a wiecie dla czego, bo się modlił szczerze i gorąco, a modlitwa krzepi każdego.

Ile dni przesiedział w brzydkim lochu o chlebie i wodzie, tego wam nie powiem, bom tam nie był, ale dość na tem, że jednego dnia przyszedł klucznik z drabikami, a wziąwszy

pod ręce, poprowadzili do wielkiej sali na ratuszu, z którego dziś już i śladu nie ma.

Ho ho był ci to ratusz nie lada, szukać drugiego w świecie, pamiętam go dobrze; lecz cóż ubrdało się jakimś głupcom zburzyć ten śliczny gmach i zburzyli, niechże im Pan Bóg tego nie pamięta!

Ale wróćmy do naszego skrzypka, co stał przed ławnikami miejskimi i pocił się od strachu, widząc srogie miny i sroższe jeszcze oczy, które na niego wywalali. Więc tedy najprzód zapytali go kto jest, czem się trudni i tam dalej, aż potem najstarszy rzecze:

— Byłeś ubogi i umierałeś z głodu, a teraz masz domostwo, grunt i pieniądze, zkąd to wszystko, mów, a tylko prawdę, bo cię na turtury wziąć każę!

Skrzypek zbladł i począł dygotać od strachu, a zęby mu klekotały, jakby go za kark czwartaczka chwyciła. Bo też to turtury to nie żarty.

To widzicie, były takie haki, co człowieka na nich u powały zawiesili za palce od rąk, a do nóg wiązali centnarowe kamienie, tak, że ci wszystkie członki ze stawów wychodziły; albo nogi kładli między deski, a potem zabijali klinami, że druzgotało kości; nie miał się więc bać takiego specyału biedny skrzypek co go na obrazku widzicie; ależ westchnąwszy do Pana Boga, zebrał wszystkie siły i począł sędziom opowiadać wszystko jak było, nie kłamiąc, ani ukrywając.

Skoro skończył opowiadanie, sędziowie parsknęli śmiechem, a najstarszy zawołał:

— Łżesz łotrze! wszystko co powiedziałeś kłamstwo, któżby ci uwierzył, aby tobie Pan Jezus dawał trzewiczki. O widzicie go jaki pokorniutki, cicha woda brzegi rwie, modli się pod figurą, a djabła ma za skórą; złodziej jesteś, wierutny złodziej, skradłeś Panu Jezusowi trzewiczek, a teraz chcesz sławetnym ławnikom zamydlić oczy. Przyznaj się, bo ci mówię raz jeszcze, że pójdziesz na turtury zbrodniarzu!

Łacno o przyczynę, kto chce bić chudzinę, a na pochyłe drzewo to i kozy skaczą, powiadają starzy ludzie, więc też i ławnicy poczęli miotać obelgi na skrzypka, przezywając go

świętokradcą; a on nieborak próżno się sumitował, płakał, przysięgał, nie pomagało mu to wcale, tak, jako nie pomoże krukowi mydło, ani umarłemu kadzidło, nie uwierzyli mu panowie radni, a burmistrz czy tam wójt myśląc że zbrodniarz zaciął się upornie, krzyknął na kata Fryca.

Kat posunął się ku skrzypkowi, ale ledwie dotknął go ręką, kiedy ów przejęty strachem, zachwiał się i padł jak długi u stóp oprawcy. Poczęto go cucić, a kat, który był zarazem i doktorem, bo naówczas kaci też praktykowali w tem rzemiośle, rzekł do ławników:

— Sławetni panowie! ten człowiek jest bardzo słaby, zanim go wezmę w swoje ręce, to on od strachu skona, turtury nie wymęczą z niego chyba jedną śmierć, jeżeli wola mojej rady posłuchać, to należałoby przestać na tem, bo widzi mi sięż e to człowiek niewinny.

— Skądże tak sądzicie kumie Frycu, że za nim obstajecie? — zapytał starszy.

— Albo mi to mało zbrodniarzy przez ręce przeszło, abym się na nich nie znał, o znam ja ich jak zły szeląg, bo kto się dotyka smoły, to się od niej maże, i ja też znam złodziejskie przebiegi. Słyszałem jako się tłumaczył ten skrzypek, gdyby popełnił kradzież toby nie miał tyle śmiałości w mowie, ani uczciwości w oczach, bo na złodzieju czapka gore, ale ten mówi pięknie i prawdziwie, i ja jestem przekonany, że niewinien.

— Widno żeście się kumie na patrona urodzili, a przecież trzeba przy sprawiedliwości stać, a zbrodniarzy karać — rzekł ławnik.

— Wiem ci ja, że karanie słuszne lekarstwo duszne — odrzekł kat, — i wiem też że turtury są potrzebne na zbrodniarzy, bo przez nie prawdy się dowie i po kłębku dójdzie nici; ale po co tutaj za nitkę chwytać, kiedy kłębek w garści.

Fryc miał wielkie zachowanie u panów radzieckich; wiedzieli że to człowiek mądry, postrach zbrodniarzy, ale przyjaciel cnotliwych. Więc poczęli się naradzać. Jedni za nim, drudzy przeciwko niemu, bo zawsze między ludźmi co głowa to rozum, ale przecie tych więcej było, co potępiali biednego skrzypka i w końcu wypadł wyrok, żeby go uwolnić od turtury, ale jako

świętokradcy, najprzód uciąć rękę, a potem bić kołem i końmi roztargać, a wreszcie na popiół spalić i na cztery wiatry rozrzucić.

Próżno skrzypek co go na obrazku widzicie udawał się do miłosierdzia panów radnych, trafił kulą w płot, nic nie pomogło. Widząc nareszcie że przeciw wodzie trudno płynąć, poddał się spokojnie wyrokowi i nie wydał nawet onego niemca któremu trzewiczek sprzedał, ale zażądał tylko księdza, aby go jako prawowiernego katolika na drogę wieczności przygotował.

We trzy dni potem wzniesiono w rynku Krakowskim obok ratusza rusztowanie, a o świcie zbiegł się ogromny tłum ludu na tracenie skrzypka. Wieść o tej sprawie rozbiegła się po całem mieście; byli tacy co wymyślali na niego i wierzyli że skradł trzewiczek; ale była znowu ogromna chmara takich, co go mieli za niewinnego. Boć go też znało całe miasto i wszyscy bardzo lubili za śliczne granie.

Więc gdy się najprzód pokazali pachołcy a za niemi skazany na śmierć, to ludzie tylko płakali, ale skoro ukazali się panowie ławnicy, powstał krzyk srogi.

— Co to wrzeszczeli ludzie, kowal zawinił a krawca wieszają?! Niesprawiedliwość! Zły sąd, znają się na prawie jak koza na pieprzu!

I zrobił się taki tumult jak w piekle po ukrzyżowaniu Pana Jezusa. Panowie radzieccy zbledli, a starszy widząc że to nie żarty, wstąpił na rusztowanie i dał znak ręką, aby się uciszył naród. I wnet zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

— Sławetni ludzie! — rzekł starszy, — utrzymujecie że skrzypek niewinny. — Niechajże więc dowiedzie tego, — a potem zwróciwszy się do skrzypka, rzekł: — Któż za tobą będzie świadczył, żeś jest niewinny?

— Chyba ten Pan Jezus, co mi podarował ten trzewiczek — odrzekł pokornie skrzypek.

A ksiądz stojący obok skazanego powiada:

— Duch święty przemówił przez niego. Zaprowadźmy go pod figurę Pana Jezusa w kościele św. Salwatora, i niech tam gra u stóp Zbawiciela, a jeżeli w istocie Chrystus podarował mu jeden trzewiczek, to może dla ocalenia niewinnego i drugi spuści.

I wnet rozstąpiły się tłumy ludu, a panowie radni przodem, za nimi zaś ksiądz, więzień i pachołcy ruszyli ku Zwierzyńcowi, tutaj pod ten sam kościół, kędy stoimy obadwaj, a naród wszystkie wzgórza mrowiem obsiadł, wzdychając do Pana Jezusa za biednym skrzypkiem.

Sławetny burmistrz z ławnikami wtłoczył się za skrzypkiem do kościoła, w którym już pełno ludu, wprowadzono skazanego z księdzem i mimo takiego tłoku, wszyscy cisnęli się a ustępowali biedakowi. On tedy wziął skrzypeczki, a stanąwszy pod samym krzyżem, przeżegnał się i począł grać tak smutno, tak żałośnie, że aż serce pękało. I zdało się, że wszystkie struny płaczą różnemi głosami i rzewnie jęczą wzywając miłosierdzia Jezusowego, a skrzypek grał i grał, a łzy spadały mu jak groch po twarzy i zaledwie mógł utrzymać smyczek w ręku. A na to żałośne granie cały tłum począł w głos płakać, płakał i ksiądz, a nawet panom ławnikom łzy się w oczach kręciły. Słysząc zaś ten płacz buchnął skrzypek głośnym płaczem, a skrzypki jeszcze żałośliwiej od niego płakały.

W tem nagle go coś w ramie trąciło, a potem z łoskotem upadło pod nogi. Patrzą rajcy, patrzy lud, a to szczerozłoty trzewiczek leży na ziemi, a i druga nóżka Zbawiciela bez trzewiczka na krzyżu!...

Więc rozległy się krzyki wesela w świątyni pańskiej, a skrzypek ze wzruszenia i wysilenia padł jak długi pod krzyżem, porwał go naród na ręce i w tryumfie niósł do miasta wychwalając Imię Pańskie.

Tak tedy wyratował Bóg od śmierci nieboraka, a magistrat ogłosił uroczyście jego niewinność i oddał mu na własność drugi trzewiczek Zbawiciela.

Na wieczną pamiątkę tego cudu skrzypek ów uratowany od śmierci dał ów obraz wymalować i jest tu po dziś dzień, chociaż tamta figura Pana Jezusa zniknęła z kościoła.

No, teraz wiecie wszystko, a więc bywajcie zdrowi, bo komu w drogę to i czas, a ja muszę iść dzwonić na Summę. Podziękowałem dziadkowi i dałem mu kilka groszy aby zmówił pacierz za duszę skrzypka.

Noga drewniana.

— A czy widzisz staruszka,
Tam gdzie rzuca na pole
Cień w około ta gruszka?
Zmarszczków pełno na czole,
Blizna idzie przez lica,
W ustach fajka gliniana,
A na piersiach przyświeca
Krzyżyk z srebra czy złota...
Aj — i noga drewniana!
To dziwota, dziwota!...

Tak wołały dzieciaki,
Idąc do dom po szkole...
I pytały: — Kto taki?
I leciały na pole
Ze zdziwieniem i krzykiem:
— Co za człowiek to siwy,
Z takim złotym krzyżykiem,
Z taką fajką glinianą?
A co więcej — o! dziwy!
Z taką nogą drewnianą?...

— Swawolnicy nuż cicho!
Przecież żołnierz kulawy
Także człowiek, nie licho,
I nie powód do wrzawy!

Gdyśmy wroga trzepali,
Byłem zawsze na przedzie!
Serce człeku się pali
Gdy to w pamięć przywiedzie!...
Miałem konia jak ptaka,
Lancę, kask i rabaty —
Piękna szata to taka!
Kiedy w boju leciałem
Na dymiące armaty,
Kulą w nogę dostałem!

I odcięli mi nogę!
Lecz żałować nie mogę,
Bo Dwernicki nasz śmiały,
Coście o nim słyszały,
Co nie żyje już pono,
Gdy po bitwie obaczył,
Jak mię z placu niesiono,
Pierś mą, w boju skrwawioną,
Sam tym krzyżem naznaczył.

O! wierzajcie mi dziatki,
Nie wahałbym się długo
Stracić zdrowia ostatki,
Nogę nawet i drugą...
Lepiej chodzić na szczudle,
Niż wśród walki okrzyku
Gnić za piecem jak w pudle —
Lepiej chromieć, to pewno,
Na tym nędznym patyku,
Niż mieć serce jak drewno!...

A dzieciaki wojaka
Ręce całowały,
Kulawego biedaka
W dom swój zapraszały,
I tak sobie mówiły:
— Gdy idzie o ojczyznę,
O kraj rodzinny miły,
Toć rzeczą pożądaną
Taką przez twarz mieć bliznę,
Taką nogę drewnianą!...

Wojtek ze Smolnicy.

Dobry uczynek,

czyli:

Jaki sen miał szewc Jędrzej i jak się poprawił.

W pewnem małem miasteczku żył szewc bogaty, imieniem Jędrzej. Rzemiosło dobrze mu się wiodło, co roku kilka razy jeździł z butami na odpusty, jarmarki, i zawsze spory wór gro-

siwa przywoził z sobą, miał grunt za miastem duży i dobry, dwa domy piękne w mieście, a w skrzyni pieniędzy uzbieranych jak bobu.

Ale prąwdę to mówią ludzie, że majątek wielki często ludzi psuje i na złe drogi ich prowadzi, bo niekażdy umie po bożemu używać grosza i mienia. Tak też było i z Jędrzejem. Za dawnych lat, kiedy był jeszcze ubogim rzemieślnikiem i dorabiał się dopiero, znali go i chwalili wszyscy jako człowieka dobrego i litościwego — ale skoro przyszedł do majątku, zaraz się odmienił na złe i z poczciwego szewca stał się pyszny bogacz. Nie poratował już nigdy ubogiego, jak to dawniej czynił, ale dusił jeno grosz i przemyśliwał nad tem, jakby jeszcze więcej uzbierać.

Mówili mu to inni ludzie i upominał ksiądz proboszcz, ale Jędrzej tak ufał w swoje pieniądze, że nikogo nawet z wielkiej pychy i słuchać nie chciał.

— Co komu do tego — mówił Jędrzej — żem bogaty i że niechcę wspierać biedniejszych odemnie. Albożem ja nie pracował na siebie, a za cóż bym teraz to, com sobie uzbierał, miał dawać innym ludziom? Czyż niedość na tem, że nikomu krzywdy nie robię, a jeszcze miałbym mój grosz rozdarowywać?

Snać nie wiedział Jędrzej, że kto wspiera ubogich i nędzarzy, ten nie rozdarowuje majątku, jeno go na duży procent pożycza Panu Jezusowi, który mu to potem po śmierci setnie powróci, i że nie ten największy bogacz, kto nazbierał najwięcej pieniędzy, ale ten, co nagromadził najwięcej cnót i dobrych uczynków.

Ale patrzcie, co się stało. Razu jednego wracając Jędrzej z jarmarku przemarzł i powróciwszy do domu, uczuł, że bardzo jest chory. Głowa poczęła go palić jak ogień a gorączka całe ciało mu płomieniem przeciągała, tak że stracił pamięć i leżał jak nieżywy. Wołano lekarzy i cerulików, ale ci żadnej rady dać nie mogli i powiadali wyraźnie, że Jędrzej już nie pożyje dłużej na świecie. Żona Jędrzeja poczęła rozwodzić okropne lamenta i płacze, sąsiedzi się zbiegli i żałowali chorego bogacza, któremu i majątki nic od śmierci nie pomagały — a sam Jędrzej

tymczasem leżał bez pamięci, oczy postawił w słup i jeno ciężko dychał.

Kiedy zaś żona lamentuje, a doktor to wodę mu do głowy przykłada, to pijawki stawi, to w gębę jakieś czarne krople puszcza — Jędrzej tymczasem nie czuł niczego, jeno miał sen bardzo dziwny.

Oto zdało mu się w gorączce, że już umarł, i że stanął przed majestatem Bożym nasąd. Dopiero tu przed sądem Bożym strach ogarnął Jędrzeja wielki, poznał, że odpadły od niego majątki jak śmiecie, i że stoi przed tronem Bożym jak nędzarz jaki, bo za życia nie nazbierał sobie dobrych uczynków, któreby go od potępienia ratowały.

Otoż gdy tak stoi na tamtym świecie, widzi naraz okrutny ogień przed sobą, straszny i huczący — płomienie już buchały na wszystkie strony, a gorąco biło okrutne. Jędrzej pomyślał sobie, że to pewnie jest piekło, do którego jest przeznaczony za to, że jeno grosz zbierał a dobrych uczynków nie robił za życia, gdy naraz usłyszał straszny głos:

— Jędrzeju, przejdź przez tę otchłań ognistą!

Krwawy pot przestrachu oblał Jędrzeja, ale rozkaz ten był taki groźny, że musiał go usłuchać. Idzie więc ku tej piekielnej otchłani, ale jeszcze do niej nawet nie przyszedł, a już okropny żar pali mu ciało i kości przenika. W boleści okropnej zajęczał biedny Jędrzej i był już pewien, że w ogniu tym ponosić będzie męki i udręczenia straszne, kiedy naraz ujrzał na drodze do płomieni parę butów i usłyszał znowu głos, aby te buty ubrał na nogi i w nich dalej ruszał na ów ogień buchający.

Jędrzej ubrał buty i idzie naprzód i oto patrzcie, lekko mu się zrobiło odrazu i odwagi nabrał wielkiej. Poszedł prosto na ogień a gdy go płomienie otoczyły, nie czuł ani bolu ani męki, jeno w tych butach przez okrutne płomienie jakby po miękkiej murawie przeszedł. Wtedy usłyszał znowu głos:

— Jędrzeju czy poznajesz te buty, które cię w tym ogniu uratowały? Oto przypominasz sobie, jakieś jeszcze był biednym szewcem, to miałeś lepsze serce i litości więcej. Wtedy zobaczyłeś raz w zimie na strasznym mrozie jakiegoś żebraka bosego i litość cię zebrała i darowałeś mu nowe buty. Jędrzeju,

to są te same buty, któreś dał ubogiemu. Wyratowały cię one teraz z ognia strasznego, bo dobry uczynek od złego najlepszą jest ochroną! Ale ty niemasz już więcej dobrych uczynków, bo zbogaciwszy się, byłeś twardym na nieszczęście twoich bliźnich. Popatrz przed siebie!

Jędrzej popatrzył przed siebie i obaczył drugi ogień, jeszcze większy i okrutniejszy od przeszłego.

— Otóż patrz — zawołał znowu głos — w co się ogarniesz, abyś znowu przez ten płomień przeszedł bez szkody?!

Jędrzej wtedy poznał, że nie ma więcej dobrych uczynków na świecie, coby go jak te buty, które darował w zimie żebrakowi, osłoniły przed żarem piekielnym, strach go przejął srogi, padł na kolana i płakał rwąc sobie włosy z głowy i przeklinając siebie, że nie był dobroczynny za życia.

W tem nagle ocknął się Jędrzej i obaczył, że leży na łóżku a koło niego płaczą żona i dzieci. Poznał więc zaraz, że nie umarł jeszcze, tylko sen miał taki okropny. Począł więc dziękować Panu Bogu za ową przestrogę we śnie i zawołał xiędza proboszcza, opowiedział mu ten sen dziwny i wyspowiadał się i przysiągł, że jak tylko Bóg mu da wyzdrowieć, to się poprawi.

Jakoż Jędrzej wyzdrowiał rychło i jak obiecał, tak też się poprawił — a teraz w całej okolicy nie ma lepszego i litościwszego człowieka, jak Jędrzej. A sen ów dziwny, co go miał w chorobie uważa zawsze za bożą przestrogę i drugim ją ku nauce opowiada.

RÓŻNOŚCI.

Straszne nieszczęście. O okropnym wypadku donosimy wam, kochani ludkowie, który się zdarzył dnia 12 maja w Kolomyji. Oto wybuchł pożar straszny w tem mieście, i całe je zniszczył. Nieszczęście chciało, że ogromny wicher zerwał się podczas ognia i w jednej godzinie całusieńkie miasto stało w jasnych płomieniach. O ratunku już ani myśleć nie było można, bo na wszystkie strony buchał pożar niezmierny, a ludzie z boleścią i rozpaczą patrzyć musieli, jak ich krwawy dobytek płonął marnie w ogniu. Wiatr był taki gwałtowny, że głownie gorejące leciały

ćwierć mile za miasto i tam pozapalały stodoły. Ogień ten okropny trwał dzień cały. Z całego miasta Kołomyji zostały tylko kupy popiołu i gdzieniegdzie jaki dom, co go cudownym sposobem ogień nie uszkodził. Ni mniej, ni więcej, jeno pięć set domów zgorzało, a szkoda w budynkach i dobytku wynosi może z jakich tysiąc tysięcy reńskich! Okropnaż to klęska, okropna, aż się serce kraje! Bo to wystawcie sobie, ile tysięcy ludu niema tam teraz gdzie głowy skłonić, niema łyżki strawy ani odzieży — ile tam nędzy i płaczu! Jak tylko o tem doniesiono do Lwowa, zaraz pojechał tam pan Namiestnik, a poźniej wysłał cesarz z Wiednia swego adjutanta do Kołomyji z pieniądzmi, aby podratować jako tako najuboższych. Zaś magistrat miasta Lwowa dał ze swojej strony 1000 reńskich na biednych pogorzelców. Rozpisano też po całym kraju, aby każdy, czem kto może, pomógł tym nieszczęsnym ludziom z Kołomyji. To też i wy, moi kochani, niepowinniście pozostać w tyle, jeno na co kogo stać, składajcie na ręce wójta lub ks. proboszcza dla tych biedaków. Wprawdzie i wam nie raj na świecie, jeno nieraz ciężkiej biedy przycierpieć musicie, ale zawsze choćby grosikiem ubożuchnym przyczynić się możecie do poratowania kołomyjskich pogorzelców, a Bóg wam to sowicie swem błogosławieństwem wynagrodzi!

Z Rzymu donoszą, że Ojciec św. postanowił już na pewno kanonizować to jest: ogłosić świętym naszego rodaka, ks. Józafata Kuncewicza, który jak wam już o tem pisaliśmy, był biskupem na Rusi i za wiarę męczeńską śmierć poniósł z rąk szyzmatyków.

Sprytni oszuści. Do jednej oberzy przyszło raz trzech oszustów i udając porządnych ludzi, kazali sobie dać jeść i pić. Gdy się już najedli i napili, a przyszło płacić, wówczas każdy z nich chce niby koniecznie za wszystkich płacić. „Ja zapłacę!“ krzyczy jeden honornie. — „Nie ty, jeno ja“ — woła drugi. — „Ani ty, ani on, tylko ja za was zapłacę!“ — mówi trzeci. I tak poczęli się kłócić między sobą okrutnie, aż jeden z nich mówi do gospodarza: „Nie ma innej rady jeno wy, panie gospodarzu, zawiążcie sobie oczy i łapajcie nas, a którego po omacku ułapicie, ten niechaj płaci“ Gospodarz przystał na to i zawiązawszy sobie oczy chustką począł macać za gośćmi Tymczasem wszyscy ci trzej hultaje na palcach uciekli z gospody, a gospodarz nietylko że pieniędzy swe stracił ale jeszcze obszturkał sobie boki po omacku.

Zdania.

Niektórzy kochają przyjaciela, jako żołnierz konia, tylko żeby na nim jeździł, nie żeby koniowi dobrze, lecz żeby sobie wygoda była; taka przyjaźń sedni grzbiety przyjaciołom.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.